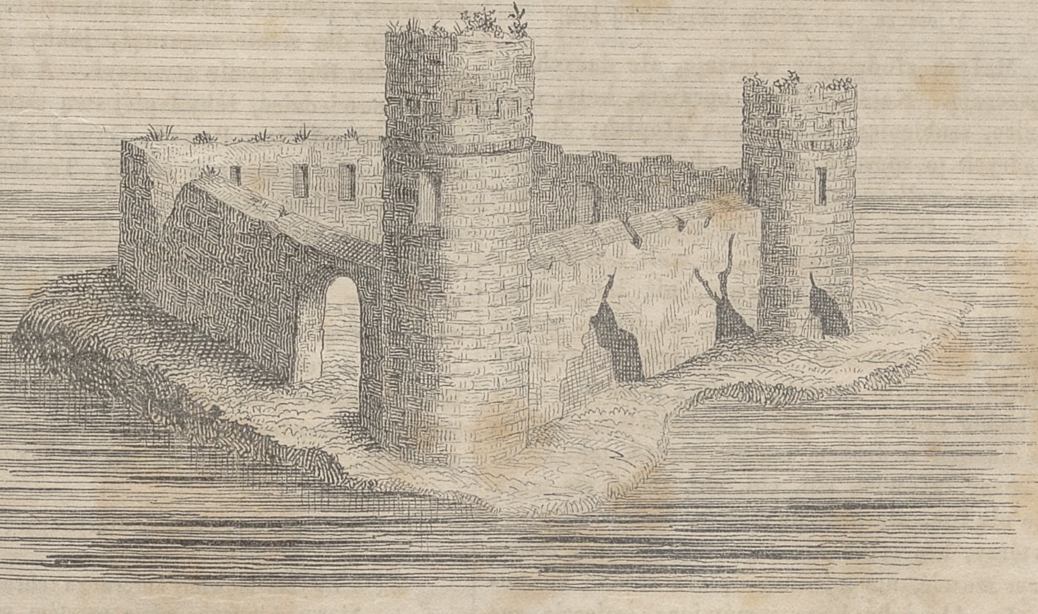
Nr. 21. **Rok 14.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 22. Maja 1847.*

Zwaliska zamku w mieście Ciechanowie. — Powiastka z ziemi Chełmińskiéj. — Piotr Dunin. — Kilka słów o stanie obecnym literatury Polskiéj, a w szczególności o powieściach J. J. Kraszewskiego „Czasy Zygmuntowskie“ i J. Korzeniowskiego „Kollokacya.“ — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.



Zwaliska zamku w Ciechanowie, nad Łydynią.

Rycina poprzednia przedstawia wiernie zwaliska zamku w mieście Ciechanowie istnącego. W. H. Gawarecki w opisie: *Starożytnych zamków i okopów w Województwie Płockiém* (Pamiętnik Hist. Płocki 1828.), tak o nim wspomina:

„W mieście Ciechanowie, w obwodzie Prza-„snyszkim, był zamek niegdy przez książąt Ma-„zowieckich, a po ich zejściu przez królowę „Bonę zamieszkały. Wystawiony był wśród „niedostępnych błót, rzeczką Łydynią oblany; „dziś ściany zewnętrzne i dwie wieże z niego „pozostały. Mury te, sięgające dalekiéj prze-„szłości, tak są mocno wapnem spojone, iż usi-„łowania rozebrania onych za czasów Pruskich „były nadaremne.“

Gwagnin tak opisuje Ciechanów: „Ciecha-„now, civitas in planicie sita, valloque circum-„septa, arx inter lutosas paludes, fossa profun-„da munitur.“ Święcicki dodał: „Arx e late-„ritia celebris.“

Powiastka z ziemi Chełmińskiéj.

Jak szewcy szewca wmówioną śmiercią zabili,
A przecież za to karanymi nie byli,
I jeszcze sobie potém szczęśliwiéj żyli.

Małych złodziejów wieszają, ale dużych to puszczają. Kajdany, baty, oprawce, katy, ciemnice, szubienice; to tylko na głupich; ale na mądrych to sposobu nie ma, choćby i sam król Salomon policyą został. Zły człowiek, ale z dobrą głową — to ci się wykręci, choćbyś go i za czuprynę trzymał, a woli i włosy ze skórą w twéj pięści zostawić, niż żeby go na półgłówka, albo też zupełnie na fryca, nowicyusza, wystrzyżono. Ale to jeszcze większy dla niego punkt honoru, że się i uczubić nie da, a każde prawo zręczniéj, niż królewski woźnica kamień w drodze, ominąć potrafi, tak, że aż i chory człowiek chi, chi, chi, śmiać się musi. Że nie łgę, ale prawdę mówię, każdy mi przywtórzy, kto tylko nie z jednego chleba, chciałem mówić, nie z jednego pieca chleba kosztował. Ale żeby kogo wmówioną śmiercią zabić można, tego pewnie i małe dziecko wierzyć nie będzie chciało. A jednak to szczera prawda, że szewcy szewca wmówioną śmiercią zabili, a przecież za to karanymi nie byli, i jeszcze sobie potém szczęśliwiéj żyli. Słuchajcie tylko, na co to się szczwany rozum zdobędzie.

W pewném miasteczku, bo nie wiadomo, czy to w Świeciu nad Wisłą, czy to w Podgórzu pod Toruniem, czy téż gdzie indziéj, było cztérech szewców. Jednemu było na imię Paweł, drugiemu Gaweł, trzeciemu Piotr, a czwartemu Puternoga, o jakich to mówią, że jeźli co dobrego, to łaska od Boga. Ale tylko Puternodze, choć w saméj rzeczy był kulasem, szło, czyli raczéj powodziło się dobrze. On to jeden, jak pączek w maśle, we wszystko opływał. Trzej zaś drudzy tylko sobie tak biedę klepali, tak że nie raz ledwie kartofel ze solą mieli. Nieszczęście zaś to łączy jak strach konie, kiedy je wilcy napadają. Tak i owi trzej nieboraczkowie szewcowie często się odwiedzali i sobie na owego czwartego brata szewca Puternogę ogniście urzewniali. Boć téż już był i za przebiegły i za staranny. A taka go chciwość opanowała, żeby był i własnemu ojcu kapki wody nie życzył. Po panach i waspanach latał, jak kot z pęcherzem, a nawet i do chłopów swą puternogą (1) zawadzał. A wszędzie właził, jak maciora w kapustę, a wypchną go za drzwi, to on się oknem wdrapie, i nie ustąpił, aż sobie miarę wziąć dano. Był to człowiek, jakiego świat nie widział. Radby wszystko dla siebie zagarnął, jakby tylko dla niego Pan Bóg ziemię stworzył. A nie można wcale powiedzieć, żeby lepiéj swą sztukę rozumiał, niż owi tam Paweł, Gaweł i Piotr biedaczek. Ale cóż było robić? Trudno głową mur przebić! A szczęście, to jak szczęście, ma zwyczajnie oczy zawiązane. Najczęściéj zaś gra w ślepą Babkę. A ludzie znowu, to jak się czego imą, to téż ciągle do jednego, jak owce za baranem. W reszcie już Puternoga mało co dbał o robotę, a przecież z bliska i z daleka do niego przychodzą i prawie się proszą: Ale mnie majsterku; ale mnie majsterku! A na Niedzielę majsterku, a na Niedzielę! Miał tu-

(1) Puternoga, właściwie półtorynoga. (*)

(*) Zwykle mówimy kuternoga (chromy). Zob. Słown. Lindego, gdzie przytém różni autorowie są wzmiankowani. Chcielibyśmy więc wiedzieć, skąd wziął autor powieści wyraz puternoga i jego wywód, który z resztą ma coś za sobą.

Przyp. Red.

zin słusznéj czeladzi, i pół tuzina pachołków, a ledwie samych urzędowych bótów nadążył robić. Jego zaś kolegom to się woda coraz bardziéj w gardło leje. Wreszcie zrobiło im się tak markociuchno, że im łzy z oczu jak groch padły. Gaweł zaś, któremu już i łez nie stawało, tak rezonem ruszył: Nie płaczcie panowie bracia moi! Nie płaczcie! Boć to jeszcze zdrowiu zaszkodzi, a nic nie pomoże! Lepiéj posłuchajcie, co mi do głowy przyszło. Wiecież wy co, my się musimy pozbyć tego przeklętego Puternogi, bo on nas i z żonami i z dziećmi jak w oblężeniu pomorzy. Na to się ozwał Paweł z Piotrem w te słowa: Byłoćby to dobrze! Byłoćby to dobrze, panie bracie! Ale jakimżeby to sposobem? — Ej jakimżeby to sposobem! powiedział Gaweł i uśmiechnął się jak słońce na pochmurném niebie. Od czegóż głowa na karku a rozum w głowie? Mam ja już sposób, żebyście mię tylko nie zdradzili! Tak oni dwaj, to jest Paweł i Piotr, uklękli na kolana, jakby do pacierza, i przysięgli, że go nie wydadzą. Wtedy powiedział Gaweł, że Puternogę pająkiem otruje. — A toć to doskonale, braciszku, zawołał Piotr z Pawłem jakby jeden, doskonale! Dalidry doskonale! Bo choćby się też i wydało, że umarł na pająka, toćby się nikt nie domyślił, że to ten pająk, jak jaka trucizna, zadany. Pająk-ci się bez ludzkiego przyczynku w strawę spuścić może.

Ale w człowieku, to jak w Marcu, w jednéj chwili z wszystkich stron wiatr zawiać może. Tak też i majster Piotr zamyślił się troszkę, potarł się potém po łysinie, i mówi: Hm! Toćby to dobrze było, żeby tego niewartego, przeklętego Puternogę djacheł spiskał; ale żebyśmy go my otruć mieli..... mnie się to za wielkim grzechem zdaje! — Lecz wiecież co! Zostawmy sobie tę rzecz do namysłu! — Ha, Niechże i tak będzie! odezwali się Paweł i Gaweł. Ale niech to namyślenie długo nie pośpi! — I tu umówili się, że nazajutrz daléj radzić będą. Na drugi dzień, co tylko skowronki zaśpiewały, przemówił majster Piotr w te słowa:

Panowie bracia, zacni majstrowie, a nie żadni partaczowie! Myśliłem i myśliłem, że przez całą noc oka nie zmrużyłem, ale koniec końcem, my swego nieprzyjaciela żadną miarą otruć nie możemy. Boćby się to nareszcie wszystko, jak szydło z worka, wykluło. A potém to dopiero strach i trwoga, jęki i stęki; jakiegoś piwa nawarzył, to go wypij, a choćbyś i pękł jak żaba! Kto wie, możeby nam jeszcze na to przyszło, żeby nas hycle żywcem za miasto wlekli, a potém kołem tłukli, i jeszcze naszego cielska świętéj ziemi nie oddali. Ach to wstyd, sromota! A życie toć i musze miłe. Na śmierć otrutą nigdy nie przystanę. Ale wiecie co? Słyszałem ja od panów, jak sobie raz rozmawiali, że jeżli człowiek chce, tak w drugiego chorobę wmówić może, że wreszcie, a nawet nie zadługuchno i kichnąć musi. — I ja to słyszałem! przerwał mu Paweł. — I ja to słyszałem! odezwał się Gaweł.

A więc, prawił daléj ów pierwszy, spróbujmy tego sposobu!

Spróbujmy! przywtórzyli ci dwaj drudzy. Toć nas Bóg przecię karać nie będzie! Boć tu już nie o naszę skórę rzecz idzie, ale o nasze żony i dzieciszczka. A sąd nam też nic złego zrobić nie może. Na naszą sprawkę toć jeszcze kary nie ustanowiono. A wreszcie i ludzie na nas krakać nie będą mogli, bo któż na nasz rozum wpadnie?

Ale jakże oni tu z owym Puternogą wejdą w rozmowę? Tak-ci go na siebie już od dawna rozgniewali, że niech mu i dzień dobry powiedzą i niech mu się jaśnie panu kłaniają, to on na nich ani spojrzy.

Na szczęście urodził się Pawłowi synek, a Gawłowi urodziła się córeczka. To zdarzenie podało Piotrowi znowu myśl, co nie lada. Namówił on swoich kolegów, że poszli do państwa Puternogów, prosząc ich, aby im stali w kumotry. Puternoga miał Pawłowi dziecko do chrztu trzymać, a Puternożyna Gawłowi. Nie byliby Puternogi o tém ani słuchać chcieli, ale pan Piotr kazał się wziąć na sposób, i dobrać stósownéj pary, i to dla pana Puternogi pani burmistrzowéj, a księdza kaznodziei dla pani Puternożyny. Jak to owa bogata szewska para usłyszała, ani się jedném słóweczkiem nie wymawiała. Chrzciny się odbyły wprzód w kościele, a potém w domu i to w alkierzu u Pana Gawła, i to razem. Było tam wesoło i serdecznie. Przy kieliszku przeproszono się w obec Boga i poczciwych ludzi, i od tego czasu była zgoda, aż miło. Paweł, Gaweł i majster Piotr, cieszyli się z tego, jakby ich kto na sto koni wsadził. Boć im też szło, jak sobie tylko byli pomyśleli.

Pewnego poranka umył się pan Gaweł rychléj, niż zazwyczaj, i pobiegł do Puternogi i powiada mówi (2): Ah, dzień dobry panu bratu!

Bóg zapłać! odpowiedział szewc Puternoga.

Na to Gaweł powiada mówi: Nudno mi po wczorajszym jarmarczysku. Więc téż chciałem pana brata odwiedzić. — Ale jakże téż źle pan brat wyglądasz! Czyż pan brat chory, czy co u licha. Adyć to blady, jakby i kropli krwi w sobie nie miał.

Puternoga nie uważał na to wiele. Poszedł jednak do zwierciadełka, co nie na paku przylepione było, ale sobie w złocistych ramach wisiało, i patrzy, patrzy, — i widzi, że do prawdy nie ma cery. Aleć on był zawsze taki! Bo którzyż krawiec, szudrawiec, lub szewc, skórkanabóty był kiedy jak jabłko? Mówili jeszcze z sobą i o tém i o owém. Nagle zawinął się Gaweł i odszedł.

Ledwie co pacierz upłynęło, nadszedł Paweł, i zawołał niby to litośnie: Słyszał człek od swego sąsiada Gawła, że pan brat coś chory. Więc téż sobie człek przyszedł, aby téż pana brata odwiedzić. Ale, dali-Bóg, pan brat źle wyglądasz! Adyć to istna śmierć! — Pani bratowa! Cóż to jest? O czemuż nam téż lepiéj o swego mężulka nie dbacie? Nie dość, że nocy nie dośpi, aleć to taki dobry, że go do rany przyłożyć; a pani bratowa tak twardego coś serca! Przysięgam pani bratowéj, że jemu równego już nigdy nie dostanie! Ach licho mu z oczu patrzy! do prawdy, to nie żarty. A niechże się lepiéj pan brat położy! — Tu szewca ciarki przeszły, jakby go kto śpilkami podrapał. I pani szewczka cokolwiek się przelękła. Jednakowoż to jeszcze nic nie skutkowało. Boć téż dusza nie na pajęczynie w ciele uwiązana.

A gdy i ten drugi zmowa: Zostańże brat z Bogiem! powiedział, a Piotr, ów najmowniejszy, nie zadługo potém nadszedł, i zaczął się użalać i straszyć i doradzać: Tak pan Puternoga co tchu sukmanę i fartuch z siebie, i buch w piernaty. I w saméj rzeczy ogarnęła go taka gorączka, że aż zaczął jak w malignie gadać. A najwięcéj wyrzekał: Ach nacóż mi się to teraz przyda to moje staranie! Ach, po mojéj śmierci to wszystko w rozsypkę pójdzie. — Tu szewczka w płacz! Lamentuje i ręce załamuje! A ów szewc zmowa nie kontent z tego, i doradza i doradza, aby czém prędzéj po księdza posłać. Bo powiada mówi: Lepiéjci, aby się pan brat wyspowiadał i oléj święty przyjął. Toć prędzéj Pan Jezus pocieszy, a w reszcie w takim razie to każdy człowiek bezpieczniejszy! Człowiekci, to jak bąbel na wodzie! dziś żyje, jutro gnije! Życie na włosku wisi! A piekło, piekło! Ach tam płacz i zgrzytanie zębów! Tam siarką kadzą, w smole gotują, i duszyczki na kowadle kują. A nikt już z tamtąd nie wyjdzie!

Tu szewc Puternoga w jęki, jakby kto z niego wnętrzności kręcił. Szewczka téż szlocha i wypycha pachołka po księdza proboszcza. A ksiądz proboszcz téż przychodzi i dysponuje pana Puternogę na śmierć. Tu bogaty majster zupełnie w konaniu. Żona płacze, ciska się; dzieci płaczą, czeladnicy płaczą i pachołki płaczą. A nawet Paweł i Gaweł płaczą. Znaleźlić się oni tam jako dobrzy Chrześcianie i dobrzy komotrowie. I dobrze zrobili, bo Puternoga ich żądał i przepraszał, że im tak chciwie chléb odbierał. Były tam także i panie Pawłowa, Gawłowa i Piotrowa. Płakały one także, a płakały rzewnemi łzami, boć nie wiedziały, co to się święci. Ale to wszystko nic nie pomogło. Jeszczeć słonyszko nie zaszło, a ów bogaty szewc zadarł gardła i chrap! dusza z niego wyleciała. Płakano i szlochano jeszcze bardziéj, jeszcze rzewliwiéj, ale to wszystko na próżno! Położono więc nieboszczyka Puternogę na deskę i jeszcze téjże nocy pustanoc się odprawiła. Paweł, Gaweł i Piotr także śpiewali smutno i żałośnie, ale pod ich bruślaczem serduszko skakało, jakby tam dyndana na weselu grano. Mieli, Bogu dzięka, po śmierci Puternogi, roboty, że jéj przerobić nie mogli, i dobrze im się wiodło. Ale gdy ich szczęście bość zaczęło, wdali się w gorzałkę. A jak sobie raz głowy dobrze zapruszyli, wymawiali sobie dawne dzieje. Wreszcie i nieboszczyka Puternogę w grobie naruszyli. To nie różą pachniało. Sprawka się wydała. Dowiedział się o niéj i pan burmistrz i sąd prześwietny, ale ukarać ich nie można było, bo na tak szczwane morderstwo i teraz jeszcze prawa nie ma, a zabij myszy dziurę, to ona sobie inszą znajdzie. Jednakowoż był koniec tych trzech szewców okropny, że aż włosy na głowie wstają. Przy śmierci bowiem pokazał im

(2) Naśladowanie opowiadającego klechy.



Dobiesz wyłupia oczy i wyrzyna język Piotrowi Duninowi.

się Puternoga, a chmary djabłów chciały z nich duszę wyrwać, że ich i święconą wodą nie odpędzono. Boć czarci to swoje prawo znaleźli. A żeby jeszcze czartów nie było, toby pono wszyscy ludzie czartami zostali.

Pamiętajcie tę moję powiastkę. Jać wam ją i dla tego powiedziałem, żebyście w siebie śmierci wmówić nie dali, jak ów Puternoga nieborak.

Chełmno, dnia 7. Kwietnia 1847.

Sjerp Polaczek.

Piotr Włast (Włoszcz, Włoszczowicz) Dunin.

Kiedy Bolesław Krzywousty wojnę Pomorską około r. 1120 prowadził, albo może wcześniéj, przyjechał Piotr Duńczyk z Danii, albo raczéj z Słowiańszczyzny, Duńskiemu królewiczowi Kanutowi po śmierci Henryka podległéj, do Polski, jak niektórzy twierdzą, zbogacony rozbojem morskim, lub zdradą Słowiańskiego panka lub księcia Ruskiego. Właśnie wtenczas szukali Pomorzanie pomocy aż na Rusi, z czego korzystając Włodzimierz, książę Kijowski, ściągnął wojsko pod pozorem ścigania Jarosława, w Polsce już trzy lata przemieszkiwającego, a Wołodar, zięć jego, książę Przemyślski, wpadł do Polski w niebytności Bolesława III. Wtedy Piotr, dziedzic na Księdzu, wódz rycerstwa Polskiego (zapewne ten sam co i Piotr Dunin) podjął się królowi, że bez krwi rozlania samego Wołodara żywcem przystawi. Podobała się ochota Piotra, a skutek uiścił obietnicę. Piotr wziąwszy z sobą trzydziestu ludzi na wszystko gotowych, udał się do Przemyśla. Puszczony do książęcia, i pytany po-

coby przybył? udawał chytrze, że zbrzydziwszy sobie Polskie panowanie, życzy być raczéj na usługach Wołodara. Szarpiące sławę królewską mowy, złączone z odkazkami na Polaków i obietnicami podchlebnemi, sprawiły mu wiarę. Potwierdził ją mniemany zmiennik pilnemi przez czas niejaki usługami; lecz gdy go raz Wołodar wziął z sobą na łowy, i zapędzony za zwierzem od swoich daleko zboczył; Piotr uczyniwszy nań w lesie zasadzki, obskoczył go znienacka, i związanego pod strażą uwiozłszy za granice, w zamku swoim Księdzu osadził. Przystęp łatwiejszy i zdradę ułacniła podobno Piotrowi dawna na Rusi znajomość, gdyż mając zlecenie zmówić za żonę córkę któregoś książęcia Ruskiego, jakiemuś panu Słowiańskiemu w Lutycyi, czyli w kraju Obotrytów, on ją sam sobie zaręczył. W ten czas podobno król Skrzynno Piotrowi Włoszczowi (czyli Włoszczowiczowi) darował; a oraz i o ożenienie Piotra z księżniczką Ruską Maryą, bliską żony swojéj krewną, postarał się; ale czyli to była córka Wołodara, jak Naruszewicz rozumie, czyli taż sama, którą już sobie pierwéj przez zdradę zaślubił, czyli też jéj następniczka w powtórném małżeństwie, to wszystko niepewność zakrywa. Pewniejsza, że Piotr Dunin na Skrzynnie (a jak wyżéj wyrażono podobno i na Księdzu) dostąpił godności w Polsce jak najwyższych, a w tém dostojeństwie znaczném dzielnie przyczynił się do nawrócenia Pomorzan. Gdy mu zaś papież nałożył pokutę, (jak Ortlib świadczy za zdradę Słowiańskiego panka w zabraniu mu panny młodéj, tudzież i za pojmanie Wołodara, chociaż mu córkę do chrztu trzymał i wierność zaprzysiągł), aby zbudował siedm kościołów, on wystawił ich siedmdziesiąt, czyli siedmdziesiąt i siedm, i hojnie nadał. Kościoły te znajdują się po większéj części w Szląsku i w Wielkiéjpolsce, gdzie jako starosta, czyli kasztelan Piotr Dunin przez czas niejakiś władzę namiestniczą z ramienia królewskiego w Wrocławiu, w Kruszwicy i Kaliszu sprawował. Dziwno jest, że nie masz śladu hojności jego w Pomeranii, bądź że nie dozwalała tego niepewność wiary nowo nawróconego pogaństwa, bądź nieustanność wojen w owych stronach; bądź, że znaki ich wszelkie dawnością w niepamięci są zatarte. Kiedy po śmierci Bolesława Krzywoustego syn jego najstarszy Władysław II. z namowy żony swojéj Agniészki, wnuczki cesarza Henryka IV., zapragnął jedynowładztwa nad całą Polską, a wiele panów prawa młodszych braci popierało; u samego dworu Piotr hrabia na Skrzynnie, starosta, czyli wojewoda, czyli kasztelan Wrocławski (1) ujmować się zaczął za nimi. Zemściła się nad Piotrem Agniészka okrutnym sposobem tak o to, jako i o żart niewczesny; gdy bowiem pewnego razu znajdował się hrabia Piotr z książęciem Władysławem II. na łowach, a przypadkiem w lesie pod czas zimowy na twardéj ziemi legowisko niewygodném być się zdawało, rzekł Władysław II.: „Piotrze, miękczéj teraz podobno żona twoja z opatem (Skrzyńskim, w którym się kochała) spoczywa.“ Na co Piotr odpowiedział: „I twoja, panie, lepszego bytu przy Dobieszu (2) (Niemcu) zażywa.“

Niebezpieczne są z panującymi żarty: ubodło wrzucone podejrzenie zawistną ku Niemkini miłość. Książę wyrzucał Agniészce niewierność; ta się umiała zręcznie wymówić: Dobiesz szczęśliwie niewinnym uznany. Wszyscy się zmówili na ukaranie mniemanego potwarcy. Gach, jakoby najbardziéj pokrzywdzony, obrany do wykonania okrutnego na Piotra wyroku. Upatrzono czas godowniczy, kiedy się hrabia najmniéj zdrady spodziewając, wesele córce swojéj z Jaxą, z książąt, czyli panów Syrbskich jednym, sprawował we Wrocławiu. Przybywszy do miasta Dobiesz w towarzystwie wielu zbrojnych ludzi, poimał Piotra i książęciu przystawił. Zemsta niewieścia nakłoniła lękającego się urazy publicznéj, a dla téj przyczyny zwlekającego morderstwo męża, że niewinnemu człowiekowi język urżnąć i oczy wyłupić rozkazał. Starożytne kroniki twierdzą, jakoby Piotr cudownym sposobem wzrok i mowę potém odzyskał (3).

(1) W owym wieku starostwa i kasztelaństwa jedno znaczyły. Nar. III. 11. n. 2.

(2) Dobiesz, t. j.: Tobiasz.

(3) Że nawet z uciętym językiem można dosyć wyraźnie mówić, mamy różne w dziejach Niemieckich przykłady. Tak opat Giernot w Nienburgu, któremu Henryk hrabia de Aszersleben był kazał język urznąć, dał sobie poprzycinać pozostałą języka połowę i mawiał potém dosyć zrozumiale. Równie i oczy nie zupełnie wyłupione mogły znowu się poprawić. Niemasz zatém nic do wiary niepodobnego w téj powieści. Obacz o tém zdanie Lekarza Mendel w dzienniku: Schlesien Ehedem und Jetzt. *Pag.* 109 und 206. *Mem. de l'acad. de chir. de Paris T. V. No.* 13. *Transact. Lond.* 1742. Wreszcie była to w Niemczech, albo raczéj w całéj Europie, zwyczajna zemsta.

Kilka słów o stanie obecnym literatury Polskiéj, a w szczególności o powieściach J. J. Kraszewskiego: „Czasy Zygmuntowskie“ i J. Korzeniowskiego: „Kollokacya.“

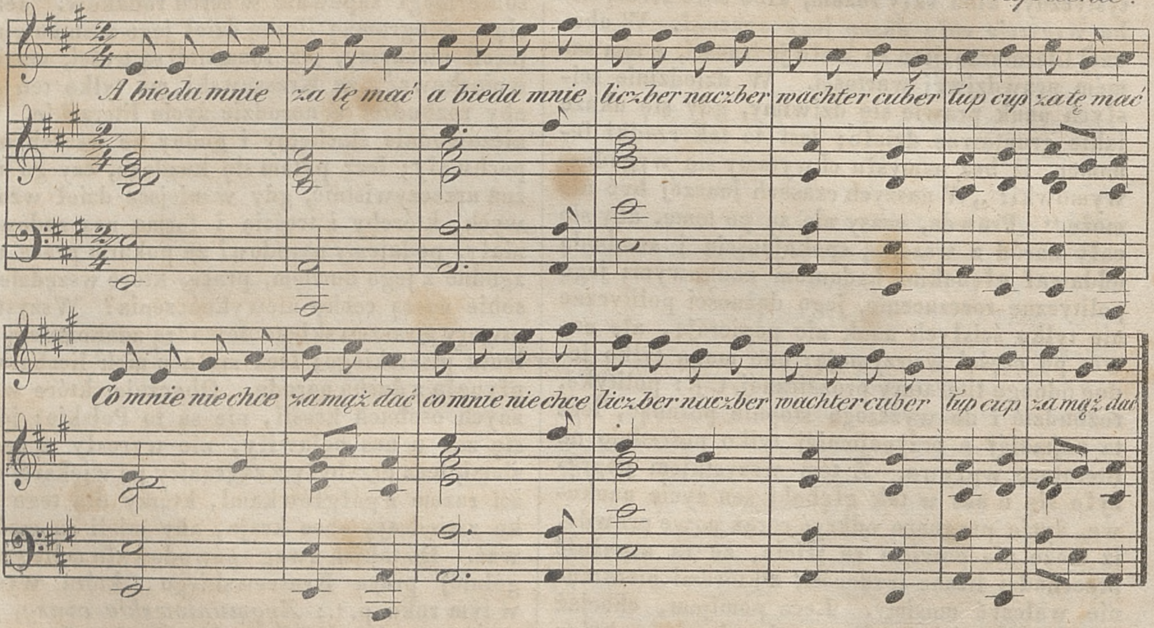
Kto literaturę naszę, która tak bujnie przed dziesiątkiem lat kwitła, w obecnym czasie z jakąkolwiek uwagą przegląda, nie pocieszy się zapewne tym wypadkiem, iżby w siebie wmówił: „Cieszmy się, piśmiennictwo nasze coraz bardziéj wzrasta.“ Bo chociaż znajdzie liczne spisy dzieł nowo wytłoczonych, chociaż nie wie czasem, co pierwéj wziąć do ręki, aby nakarmił spragnionego ducha, nie doznaje jednak tego wewnętrznego i błogiego zadowolenia, którego umysł nasz zawsze kosztuje, gdy jaki płód artystyczny, albo cały rozum, albo całe serce, albo wreszcie całą duszę jego ogarnął. W obecnéj literaturze jest za mało jędrności, a tém samém prawdziwéj wartości. W dziedzinie ścisłych nauk prawie się dziwimy, gdy się ukaże jakie gruntowne dzieło; jest to tak rzadki fenomen, iż bez namysłu chwytamy się wygodnéj wymówki: „W naszych czasach inaczéj być nie może.“ Prawda, czasy nie są po temu, aby się cały naród z wszelką spokojnością i swobodą oddawał głębokim badaniom naukowym; jego polityczne rozrzucenie, jego dążności polityczne nie tylko ścisłych nauk nie popierają, ale nawet po części wstrzymują; one mogą tylko jednę odnogę literatury prozaicznéj, t. j.: politykę, rozbudzić i do wyższego stopnia posunąć, lecz ta najmniéj a przynajmniéj tylko pośrednio na literaturę wpływa. Z tém wszystkiem pogrążyło się u nas w tak głęboki sen życie naukowe, życie pragnące odkryć coraz nowe prawdy, iż może nie powiem za wiele, że ta ospałość przechodzi liczne trudności, z któremi nieustannie walczyć musimy. Lecz pomijam, chociaż ze smutkiem i boleścią, przybytek nauk, który w dawniejszych czasach niekiedy takim blaskiem wystrzelił, iż cała Europa ze zdumionėm okiem nań spoglądała, a przystępuję do literatury, którą zwykle nazywamy piękną — może tam będziemy szczęśliwsi.

Gdybyśmy z ilości dzieł wnioskować mogli o stanie piśmiennictwa, mielibyśmy słuszny powód do radości; lecz nie wielość, tylko jakość nadaje rzeczom wartości, a przedewszystkiem w dziedzinie ducha. Wprawdzie obfitość naszéj literatury jest niczém w porównaniu z obecną we Francyi, Anglii i Niemczech, lecz wystarczałaby aż nadto na potrzeby naszego ducha, gdyby tylko miała w sobie pokarm, któryby nas prawdziwie posilał. Niestety! są to niedojrzałe owoce, które nie tylko nam sił nie przysparzają, ale nawet w słabości utrzymują. Milczą wielcy wieszcze: Mickiewicze, Zalescy, Goszczyńscy, czasem tylko uniesie nasze uczucie w światy piękności Krasiński, choć z drugiéj strony nas zasmuca swą dążnością arystokratyczną, z którą się nasze serce nigdy pogodzić nie może — milczą Pole, milczy autor Soplicy, milczy wreszcie autor Wernyhory i Kirdżalego, czasem tylko nas pocieszy i rozraduje Korzeniowski, czy to dramatem, czy wreście powieścią. Lecz z resztą chaos, prace pozaczynane, niewykończone, albo siły autora przechodzące. Z boleścią policzyć musimy pomiędzy pisarzy tego rodzaju męża nader utalentowanego J. J. Kraszewskiego. Z boleścią powiedziałem, bo gdyby Kraszewski sumiennie korzystał z swego daru, mógłby należeć do ozdób naszéj literatury. Lecz przy takim kierunku, jaki w pismach swoich objawia, nie tylko błogiego wpływu na naród nie wywrze, ale nawet pozbawi się sławy, którąby sobie mógł zapewnić w sercu rodaków. Jeżeli się nad ogromną liczbą dzieł jego zastanowimy, jeżeli zważymy, jak rozmaitéj są treści, musimy wnioskować, że Kraszewski ma tylko ten cel, aby rozbudził w narodzie życie literackie. Cel niezawodnie ślachetny i godny ze wszech miar pochwały; lecz pytam się każdego, czy go można urzeczywistnić, gdy w miejsce dzieł wzorowych, któreby i treścią i formą nas zadowalniały, podajemy narodowi za pokarm prace niezgodne z jego duchem, prace, które wszędzie na sobie noszą cechę niewykończenia? Wszystkie utwory Kraszewskiego dowodzą znakomitego talentu pisarskiego; lecz mała z nich liczba wypłynęła z ducha narodu. Obyczaje, które w różnych osobach kreśli, nie są to Polskie; jeżeli się zaś u nas pojawiły, nie wyrosły z naszéj ziemi, lecz przybyły z zagranicy po większéj części razem z półgłówkami, ktorzy dla tego tylko zwiedzają obce kraje, aby mieli co małpować. Do takich uwag spowodowała mnie szczególniéj praca Kraszewskiego, która wyszła w tym roku p. t.: *Zygmuntowskie czasy, powieść z roku 1572*, w 4. tomach. Przeczytawszy tytuł, z chciwością wziąłem się do dzieła, bo któżby nie chciał poznać coraz lepiéj ducha czasu, który najświetniejsze chwile z dziejów naszego narodu zawiera? Lecz jakem się zawiódł w oczekiwaniu, gdym wszystkie 4. tomy przerzucił, zamiast zadowolenia uczułem w sobie oburzenie. Nie mogłem bowiem pojąć, jak można epokę tak ważną i od wszystkich uczonych za najpiękniejszą uznaną, w tak lichém wystawić świetle. Nie przeczę, że w tym obrazie obyczajów Zygmuntowskich wiele jest prawdy, lecz z drugiéj strony wiele jest takich rzeczy, które nie są bynajmniéj właściwe temu czasowi. Obraz Łagusa niezawodnie podobniejszy jest dzikim obrazom nowszych romansopisarzy, niżeli rzeczywistym dziadom z czasów Zygmunta.

Daléj pisarzów Firlejowych tak autor skréślił, iż gdybyśmy dziś weśli do większéj kancellaryi, zapewnebyśmy ten sam obraz z małą odmianą znaleźli. Widać, że autorowi szło nie tak o rzetelność historyczną, jak o urozmaicenie swéj powieści. Lecz mógłby mi kto zarzucić, że pisarz powieści lub romansów historycznych, nie potrzebuje się trzymać ściśle faktów. To prawda, lecz i to prawda, że dziejów przekręcać nie może; wolno autorowi zmyśléć zdarzenie, atoli jak z jednéj strony podstawą tego być powinno prawdopodobieństwo, tak z drugiéj powinien pokazać, że do uzupełnienia obrazu, do jego zidealizowania, konieczną była taka odmiana. Tego zastósować nie można do wzmiankowanéj powieści. Podobnie niczem usprawiedliwić nie można ustępu: *Jan z Tenczyna w Hiszpanii.*

W ogóle powiedzieć można o obrazach Kraszewskiego, iż one więcéj imaginacyą niż serce zajmują; człowiek pragnący czegoś więcéj niż rozrywki i zabawy, nie będzie smakował w jego powieściach, bo albo nic, albo bardzo mało znajdzie pokarmu dla duszy, która ma szlachetne cele. Sztuka nie jest wprawdzie z rzemiosła nauczycielką, lecz polegając na ideałach, które w rzeczy saméj nie są nic innego, jak tylko wzorami dobrego lub złego, wpływa sama przez się na uślachetnienie ludzkości. Przynajmniéj wpływ obrazów Kraszewskiego na uślachetnienie duszy mógłby tylko być negatywny, t. j. aby wymalowanie sprosności i szkaradzeństw wzbudziło w ludziach obrzydzenie złego. Kończę tą uwagą, iż tytuł za szumny więcéj zapowiada aniżeli powieść w sobie mieści. Wcale różną jest praca J. Korzeniowskiego, którą nas nie dawno obdarzył. (Ciąg dalszy nastąpi.)

№ 195. *wieś Przysucha.*



Text do *Nru. 195.*

A bieda mnie za tę mać,
A bieda mi liczber naczber wachter czuber łup cup
za tę mać,
Co mnie nie chce za mąż dać,
Co mnie nie chce liczber naczber wachter cuber łup
cup za mąż dać,
A teraz mnie wydaje,
A teraz mnie liczber naczber wachter cuber łup cup
wydaje,
Skoro chleba nie staje,
Skoro chleba liczber naczber wachter cuber łup cup
nie staje,
Pod Krakowem młyneczek,
Pod Krakowem liczber naczber wachter cuber łup
cup nikogo,

W tym młyneczku nikogo, w tym etc.
Tylko jedna panienka, tylko etc.
Co wygląda z okienka,
I ujrzała żeglarza,
Co żegluje do morza.
I żegluje i tonie,
Woła: panno, ratuj mnie!
A jakże cię ratować,
Będą ludzie szkalować.
Opaszże się wstążeczką,
Będziesz jeszcze dzieweczką;
Opaszże się i modrą,
Będziesz jeszcze nadobną.

Wojcicki, P. l. t. II. str. 332.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)